OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM CENA 30 GROSZY

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA

DWUTYGODNIK 7 MARZEC 1936 NR 4 ROK IV

PAUL CLAUDEL

DWA LISTY DO A. FONTAINE'A

Kochany Panie.

List Pana dostaję w Tientsinie, gdzie jestem teraz konsulem i zarządcą małego miasta w pełni rozwoju. Z prawdziwą radością brodzę w tych wszystkich rzeczach wielce solidnych i wielce rzeczywistych, jak tramwaje, kanalizacja, elektryczność i bezlitosna buchalterja. Ma Pan rację, praca jest jedną z dobrych rzeczy w życiu i bez niej nie bardzo wiem, cobym tu robił. A jednak nie mam wcale zamiaru nazbyt obmawiać ten kraj. Nie jest brzydki, jest poniekąd nieistniejący, kilka trzcin i garść piasku stanowią tu całą przyrodę, jak w tragedjach wystarcza fotel, aby wyobrazić pałac: to nie odpowiada umysłowi klasycznemu, jak mój! Całą przestrzeń zajmuje niebo, wiekuiste, nigdy niezasnute, wyczyszczone, jak szyba piaskiem i octem, i tak przejrzyste, że oko mogłoby rozeznać jedną po drugiej siedm sfer Ptolemeusza. Wspaniale tu zimno, oddycha się mrożonem słońcem. Zimno jest tem, co zacieśnia, co sprowadza do maximum zwartości i napięcia, co wzmacnia strunę. Jakżeż noce pełne są gwiazd, jakżeż się czuje zbliżanie tajemnej chwili przesilenia, kiedy to rok kończy się w wielkim sekrecie i obraca swój krąg i kiedy Boże Dzieciątko przynieśli nam aniołowie. I mnie również niebawem dzieciątko będzie dane, oczekujemy je w połowie przyszłego miesiąca. Jakaż to radość dla mnie, oby wypełniło ono to, czego nie dostawa przeznaczeniu ojca. Czem byłby mój los bez tego fatalnego zamiłowania dla próżnych słów!

Ja również jestem w momencie wielkiego pokoju i zawieszenia. Na jak długo — nie wiem. Korzystam z tego i piszę ody, co zajmuje mnie bardzo i wyzwala od ciężaru dramatycznych fabuł, który jest zawsze trochę śmieszny i konwencjonalny. Tymczasem tu jest poezja w czystym stanie, nic poza ruchem i szeregowaniem mas, jak w pięknej symfonji. Napisałem już odę o „Duchu i Wodzie", a teraz zaczynam „Magnificat".

„Streszczenie", które Panu posłałem, to nie jest żaden apologetyczny świstek, ale program tematów do przedyskutowania, ułożonych w porządku logicznym i objektywnym. Przywrócić komuś wiarę, to impreza innego rodzaju, — nie myślę, że można ją utracić lub odzyskać na drodze dialektycznej. To tak, jak apetyt, który się traci. A na to, aby go odzyskać, nie trzeba dysput, ale kuracji, której czynnikiem o nieomylnej skuteczności jest modlitwa. Martwi mnie ton pełen rezygnacji w Pana liście. Oto człowiek, mający zdrowy rozsądek, prawy umysł i serce wrażliwe. Jakżeż może sobie wyobrażać, że wprowadza go w błąd i jest dlań źródłem złudzenia i omyłek właśnie to, co w jego naturze jest najmocniejsze, najlepsze i najbardziej żywe, podczas gdy części najrubaszniejsze, namiętności, egoizm, materjalne instynkty, te, których pole działania ma najkrótszą metę, które nie mogą przekroczyć wartości narzędzia, nie zstępując natychmiast w śmierć, mają stanowić jedyną oczywistość, jedyny prawowity zrąb naszej natury. *Istnieje droga!* Nie! Wiara w Boga, heroiczne zawierzenie wbrew wszystkiemu naszemu zbawieniu, to nie jakaś chorobliwa iluzja, czy przewrotność naszej uczuciowości, ale rzetelne i mężne świadectwo natury szerokiej, prostej i zdrowej. W życie wierzy w nas to, co żyje, zaś to, co umiera, wierzy w śmierć. I to, co jest w nas największe, nie jest tem, co nie jest. Nie trzeba, jak tchórz, składać broni wobec wątpienia, ale deptać po niem nieustraszenie, jak stary Job, który wie, że Odkupiciel jego żywie... Gdy przyglądamy się ruchom materji, szukamy przyczyny i celu, a jednak, o ileż dusza ludzka jest dokumentem pewniejszym, subtelniejszym i bardziej pouczającym przedmiotem doświadczalnym, podlegającym obserwacji tysiąckrotnie poufniejszej i bardziej precezyjnej, niż te wszystkie instrumenty, któremi, nazewnątrz nas, musimy dopełniać niedostateczność naszych zmysłów. Okrzyk setnika: „Wierzę!", „Rabboni!" Magdaleny i nieskończona gorycz, rozpłynięcie się jej serca niewieściego, gdy przypada do stóp zmartwychwstałego Zbawiciela, ach, to już nie mowa wyobraźni, ale wybuch rzeczywistości najbardziej ludzkiej i najprzeraźliwszej. Istność, odpowiadająca istności, stworzenie Stwórcy. Kto zna to przedziwne, dogłębne pęknięcie, temu wszystkie inne uczucia, zwane naturalnemi, zdadzą się sztuczne i niezupełne. Oto co daje jedna tylko, chrześcijańska religja, nie da zaś żaden inny kult, dla którego nazwa religji jest nieznośnem nadużyciem, którego zwać nieposób religją bez nieznośnego nadużycia! Musiałbym zepsuć dużo papieru, aby rozwinąć tę myśl. Niechżeż Pan wierzy człowiekowi,

TRZY MANIFESTY W SPRAWIE KONFLIKTU ITALO-ETJOPSKIEGO

W jednym z najpoczytniejszych dzienników francuskich, „Le Temps" ukazał się z końcem ubiegłego roku uroczysty „Manifest inteligencji francuskiej w obronie zachodu" (Manifeste des intellectuels français pour la défense de l'Occident") podpisany przez 64 literatów i uczonych, należących przeważnie do politycznych odłamów prawicy.

Manifest ten — w którego redakcji, zresztą świetnej, wyczuwa się pazur Maurras'a — apeluje do sumienia latyńskiej Francji celem obrony kultury Zachodu przed panoszącem się barbarzyństwem. Jest bowiem oznaką potwornego barbarzyństwa i zupełnego zapoznania kulturalnej odpowiedzialności Zachodu traktować Italję i Rzym, to serce kultury śródziemnomorskiej, narówni z dzikiem afrykańskiem państewkiem, „obwiniać Italję i wskazywać ją światu jako wspólnego wroga, pod protekstem obrony niezależności jakiegoś tam amalgamatu nieokrzesanych plemion", przykładać lont do drzemiących prochownic, które w jednej chwili mogą wybuchnąć straszliwą pożogą europejskiej wojny. Dlatego też inteligencja, nie chcąc się zrzec swojego autorytetu i płynących zeń prerogatyw, zgłasza uroczysty protest przeciw tak nieludzkiej niesprawiedliwości, zagrażającej najświetniejszym zdobyczom cywilizacji europejskiej, wpośród których miejsce niepoślednie zajmuje również *kolonjalna misja Europy*. Występując przeciw Italji i jej prawom niewątpliwym na czarnym lądzie, zachodnie mocarstwa powinny jednocześnie, w imię słuszności, potępić własną kolonjalną politykę. „To też niesposób powstrzymać się od zdumienia, widząc, że naród, którego kolonjalne imperjum zajmuje piątą część ziemskiego globu, występuje przeciw usprawiedliwionym roszczeniom młodej Italji *w imię niebezpiecznej fikcji, przyznającej wszystkim narodom absolutną równość. Niestety Liga Narodów sprzymierza się z tą fikcją, głosząc fałszywą doktrynę uniwersalizmu prawnego, „który stawia na słopie równości przełożonego i podwładnego, człowieka ucywilizowanego i barbarzyńcę*". I oto mamy przed oczyma rezultaty tej furji niwelacyjnej, mieszającej w jednym sosie wszystko i wszystkich: w imię tej równości formułuje się sankcje, które, aby przeszkodzić cywilizacyjnej zdobyczy jednego z najbardziej zacofanych krajów świata, nie wahałyby się rozpętać uniwersalnej wojny i sprzymierzyć wszelkiej anarchji, wszelkiego bezładu przeciw narodowi, w którym znalazły wyraz, umocniły się, zorganizowały i rozrosły, w przeciągu ostatnich piętnastu lat, niektóre z najistotniejszych cnót („vertu", virtus) pełnego człowieczeństwa.

Ten konflikt bratobójczy byłby nietylko straszliwą zbrodnią przeciw pokojowi, ale również nieodżałowanym zamachem przeciw cywilizacji Zachodu, a więc *przeciw jedynej, wartościowej przyszłości, która zarówno dziś, jak i wczoraj, otwiera się przed rodzajem ludzkim*. Dlatego też „my intelektualiści, którzy winniśmy bronić kultury z tem większą czujnością, im więcej korzystamy z jej dobrodziejstw, nie możemy pozwolić, aby cywilizacja czyniła wybór przeciw sobie samej. Chcąc przeszkodzić tak wielkiemu samobójstwu, apelujemy do wszystkich mocy ducha".

* * *

Odezwa „Inteligencji Francuskiej" wywołała w prasie silną reakcję, proklamowaną w imię politycznej opozycji. „Le Populaire" ogłosił czemprędzej odpowiedź „Inteligencji Antyfaszystowskiej", potępiającą surowo manifest, który pod pozorem „Obrony Zachodu", „nadużywa w sposób zgoła niepojęty przyjaźń narodu francuskiego dla narodu włoskiego, jakoteż samego pojęcia „Zachód" i „inteligencja", *usiłując wyzyskać na rzecz wojny w jej formie najwstrętniejszej, bo wojny zaborczej, miłość Francji do pokoju*". Ale przedstawiciele I. A. „pojmują zgoła inaczej przyjaźń, jednoczącą Francję z Italją, jakoteż rolę inteligencji francuskiej w obecnej konjunkturze". To też nie mogą oprzeć się zdumieniu, czytając w tekscie, który wyszedł spod francuskich piór, „*stwierdzenie prawnej nierówności ludzkich ras*, myśl tak z gruntu sprzeczną z całą francuską tradycją, tak obelżywą dla mnóstwa członków francuskiego społeczeńswa".

„Na szczęście wystąpienie owych 64 inteligentów — w chwili gdy Liga Narodów usprawiedliwia swoje istnienie w oczach wszystkich ludzi dobrej woli — nie reprezentuje zgoła opinji mas, które mimo propagandy pewnych organów prasy, nie działającej bynajmniej z pobudek bezinteresownych, zdolne są rozeznać *prawdziwą misję Zachodu* i ocenić wysiłki wszystkich rządów, które walczą o pokój i o poszanowanie międzynarodowych praw".

* * *

Wobec polemik i dyskusyj, wywołanych temi dwoma wystąpieniami „francuskiej inteligencji", zabrali głos „katoliccy pisarze", ogłaszając w „Sept" manifest p. t. „*W imię sprawiedliwości i pokoju*", podpisany jednomyślnie przez najpoważniejsze katolickie pióra Francji.

Manifest ten usiłuje stanąć ponad areną jątrzących walk, w świetle „pierwszych zasad sumienia". Tu nie chodzi o sympatje lub antypatje dla obecnego reżimu Italji, ale o samą sprawiedliwość i wiekuiste walory, wobec których nikomu nie wolno być obojętnym. *Nie o to chodzi, czy potrzeby ekspansji narodu młodego i czynnego zostały dostatecznie uszanowane po dziś dzień, ale o to, czy te potrzeby usprawiedliwiają wojnę. Ani potrzeba ekspansji, ani pragnienie sprawowania misji cywilizacyjnej nie mogły dać nigdy nikomu prawa do zajmowania obcych terytorjów i do zadawania śmierci.* Prawdą jest, że narody, które doszły do wyższego poziomu kultury, zobowiązane są pomagać innym, ale śmiesznem jest powoływać się na tę misję poto, aby móc prowadzić wojnę zdobyczy i prestiżu.

Sprawiedliwość musi być uszanowana we wszystkich swoich wymogach. Ona to domaga się stanowczego przeciwstawienia wszelkiemu rozszerzaniu zbrojnego konfliktu.

„Nowa wojna europejska byłaby katastrofą niepowetowaną. Fakt, że się nie pochwala Mussoliniego, nie oznacza wcale, że się jest gotowym dopuścić do tak wielkiego nieszczęścia. Rozszerzenie konfliktu byłoby nietylko klęską dla cywilizacji i dla całego świata, ale także powtórną nieprawością w stosunku do narodów, któreby zostały zaangażowane w tę tragedję. Obowiązkiem jest śpieszyć na pomoc każdemu, kto cierpi od niesprawiedliwości, ale nigdy najsurowsza racja polityczna nie pozwoliła danemu narodowi uciekać się w tym celu do środków, któreby pociągnęły za sobą jego własną zgubę i uniwersalną katastrofę. Inne są środki, do których winien się odwołać. *Musimy uznać jako fakt, że świat nie jest zdolny do zbrojnej interwencji w konflikcie italo-etjopskim, którąby nie pociągnęła za sobą nieszczęść jeszcze większych. Z drugiej zaś strony nie wolno zapomnać, że wielką niesprawiedliwością jest doprowadzać do rozpaczy dany naród, choćby to było w imię prawa.* Ale także żadna siła ludzka nie może przymusić sumienia, aby uznało, że dobro jest złem i że zło jest dobrem.

„Nie zaprzeczamy znaczenia kolonizacyjnej działalności, dokonanej przez państwa Europy, i wiemy, że działalność ta nie mogłaby być zniweczona bez niezmiernej szkody dla ludzkości. Ale wiemy również i to, *że nie została ona dokonana* bez ciężkich win. W chwili, gdy Europa zaczęła lepiej zdawać sobie sprawę ze swojej *odpowiedzialności* w stosunku do ludów kolorowych i *z warunków* sprawiedliwości i wolności, do których winien dążyć ustrój kolonjalny, należy poczytywać za klęskę moralną, że „dobrodziejstwa cywilizacji zachodniej" są objawiane tym ludom, w całym, nieporównanym blasku *wyższości jej środków niszczycielskich, zaciągniętych w służbę gwałtu, i że jednocześnie można twierdzić, iż pogwałcenie prawa, o którem świadczy taka wojna, jest tylko grzechem powszednim, albowiem chodzi przecież tylko... o imprezę kolonjalną. Tu właśnie zagrożona jest w samej swojej istocie cywilizacja Zachodu. Im bardziej jesteśmy do niej przywiązani, tem bardziej winniśmy protestować przeciw zwyczajom, które każą jej abdykować z jej najwyższej racji bytu i mogą uczynić ją nienawistną dla całego świata.*

„Wypada również napiętnować sofizmat o nierówności ras. Jeżeli chce się przez to wyrazić, że pewne rasy albo pewne ludy są na niższym poziomie kulturalnym od innych, poprostu konstatuje się oczywisty fakt. Ale stąd, jako wniosek, wyciąga się twierdzenie o *istotnej* nierówności, którąby skazywała pewne rasy albo pewne narody na służbę innych, *zmieniając w stosunku do nich zasady tego, co słuszne i niesłuszne.* To już jest czystem pogaństwem. Chrześcijaństwo bowiem pozwala nam rozumieć i realizować tę prawdę porządku naturalnego, *że sprawiedliwość należy się wszystkim ludziom, bez względu na osobę, rasę lub naród, i że dusza i życie człowieka czarnego są równie święte, jak dusza i życie białego.* Wielu ludzi znalazło już okrutną śmierć w czasie tej wojny. Tych wszystkich zmarłych, zarówno po stronie Italji, jak i po stronie Abisynji, serce chrześcijanina otacza braterskiem współczuciem.

„*Jeżeli nawet świadomość tego, co sprawiedliwe i ludzkie, nie wystarcza do poruszenia ludzkich serc, przynajmniej wzgląd na ten Zachód, który wiąże się tak lekkomyślnie ze złą sprawą, powinienby wzbudzić w każdym poważnym umyśle obawę przed użytkiem, jaki mogliby uczynić inni gwałtownicy z tych samych doktryn o nierówności ras i o błahości uchybień wobec zobowiązań międzynarodowych.*

„Wypadki aktualne—dodaje „Manifest"—ukazują nam w sposób przeraźliwie jasny, że organizm Genewy w takim tylko razie może być naprawdę pożyteczny dla porządku świata, jeżeli narody i rządy szczerze będą pragnąć sprawiedliwości i pokoju. *Właśnie tę wolę sprawiedliwości i pokoju bardziej niż kiedykolwiek należy podkreślać — dziś*".

MARJA WINOWSKA.

który zna te wszystkie „religje" nie z książek, ale z codziennego i poufałego obcowania.

Nie, my nie mamy obowiązków tylko i wyłącznie w stosunku do drugich, i nie oni nas wiążą. Jakkolwiek czule nas kochają i my ich kochamy, przyjdzie dzień, gdy nas porzucą, już teraz wymykają się nam o każdej chwili i my wymykamy się im we wszystkiem, co jest w nas najistotniejsze, w tej głębokiej samotni, do której dostęp ma tylko Bóg, *w tym istotnym braku, który stanowi jego nieobecność.*

Oto prawda, która olśniła mnie nagle jak słońce żywota w pewien dzień Bożego Narodzenia, w katedrze Notre-Dame, przed dwudziestu laty. Niemasz nic rzeczywistszego, niż Radość, niemasz nic bardziej żywego, niż Życie, nie możemy się obejść bez Boga, a od Niego ku nam istnieje droga pewna i nakreślona. To nie jakaś egzaltacja mistyka, któryby tworzył nowy porządek rzeczy, ale radość rozumna i naturalna żywego człowieka, który odnajduje swój wiekuisty ład, wyznaczony już dziś na tym świecie w sposób widzialny i dotykalny przez Kościół.

Praga, 30 maja 1910.

Drogi przyjacielu.

Przed chwilą otrzymałem Twój list, który wzruszył mnie głęboko, prawie do łez. Uczucie, że się zrobiło komuś dobrze, jest najżywszą radością, jakiej człowiek w moim wieku może doświadczyć. Miło mi będzie pomyśleć na łożu śmierci, że książki moje nic nie przydały do przeraźliwego brzemienia mroku, zwątpienia, nieczystości, który gnębi ludzkość, ale że ci, którzy je czytają, nie znaleźli w nich nic, krom racji wierzenia i radości i nadziei.

Ale Pan, Pan, który ma duszę taką piękną i tak szlachetną i tak pojemną dla prawdy, jakżeż to jest możliwe, że trzyma się Pan wciąż jeszcze od niej zdala, choć sprawy Boże pociągają Pana tak bardzo? Jeżeli mój „Magnificat" wzruszył Pana, to dlatego, że -- jak Pan sam mówi—nie jest to dzieło poety, ale człowieka unicestwionego w obliczu chwały Bożej, która przeziera poprzez te wiersze mizerne. Człowiek o takiej wiedzy i doświadczeniu, jak Pan, powinien był rzucić po drodze te wszystkie niepotrzebne [illegible] przywiązując się tylko do rzeczy solidnych i wypróbowanych, które pomagają żyć i umierać. Jakżeż Pan nie zastanowił się nad tym przedziwnym faktem, że jedni tylko chrześcijanie posiadają radość, że wiara ich nie sprawia im nigdy zawodu, ale przeciwnie, wzbudza w nich coraz to większe przywiązanie, coraz baczniejszą uwagę, wciąż nowy podziw. Nieraz słyszałem, jak zarzucano chrześcijanom z tonikiem wyższości, że racją ich wiary jest radość i pociecha, które ta wiara im daje. Ale mnie się wydaje, że nie możemy znaleźć lepszego usprawiedliwienia, albowiem to jest fakt, nie żadne rozumowanie. *Dowodem na chleb jest to, że karmi, dowodem na wino jest to, że poi, dowodem na prawdę jest samo życie, zaś dowodem życia jest to, że daje życie!* To są prawdy substancjalne, na które nie poradzi żaden argument.

Ileż razy myślałem o Panu i miałem ochotę porozmawiać z Panem na ten ważny temat! Kto wie, czy powody, które Pana dzielą od wiary, są tak nieprzezwyciężone, jak Pan myśli? Argumenty nie zmieniają się zbytnio i, czytając pierwszych apologetów, widzimy, że stulecia błędów nie przydały wiele do katalogu. Ale wielka jest dziś nieznajomość istoty chrześcijaństwa. Czytałem niedawno książkę Parigot'a o Renanie i spostrzegłem, że autor jest głęboko przekonany, iż wielcy doktorowie średniowiecza wyobrażali sobie niebo i raj niby kopułę, na którą można wejść po drabinie i gdzie zbawieni spędzają czas na graniu i muzyce. Dante, którego uważano mylnie za wielkiego teologa, jest potrosze odpowiedzialny za te śmieszne poglądy. Ani Parigot, ani Renan nie słyszeli zapewne nigdy o wizji bogotwórczej, o tem poznaniu, które pozwala nam *znać Boga*, czyniąc nas samych *jednem z Bogiem*, przy jednoczesnem zachowaniu naszej odrębnej osobowości. Ale ten krajobraz u szczytu góry rozumowego poznania jakże niewielu tylko ma odwagę przebiec, mimo że jest to tak niezrównanie zajmujące. Raczej w wielkich myślicielach średniowiecznych mogłyby budzić politowanie nasze rojenia, pełne sentymentu i kalectwa, miernota i dziwaczność naszych romansów, jak romanse Bensona, absurdalne i sprzeczne w sobie teorje, jak darwinizm. Od prawdy wielu ludzi dzielą drzwi, o których myślą, że są zamknięte, ponieważ uparcie usiłują ciągnąć je ku sobie, podczas gdy wystarczyłoby je tylko pchnąć. Nigdy nie uwierzę, że natura w swoim niezmiennym i pełnym majestatu ładzie, mogłaby nas uczyć strachu i rozpaczy— człowiek wierzący całkiem naturalnie jest z nią w harmonji; nie dlatego, że jest jej poddany, ale przeciwnie dlatego, że ona jest mu poddana.

Jednym ze smutków naszego czasu jest fakt, że ludzie prawi, jak Pan, urodzeni na to, aby stać się dziedzictwem ludzkości, są nieużyteczni, ponieważ nie wierzą; ponieważ są, jak skąpi bankierzy, którzy nie chcą dać kredytu. Człowiek, który jest poza Kościołem, odrazu staje się samotny. Nie ma żadnych punktów zaczepnych i nie wie, kędy jest. Ciąży na nim najstraszliwsze przekleństwo niemożności przysłużenia się nikomu. Nie wie już nawet, czem jest dobro i czem jest zło. Nie może dawać odpowiedzi, bo nie umie mówić, nie wiedząc, czem jest „tak" i czem jest „nie". Niema już braci i ludzie są dlań jako cienie, miotane próżnym wichrem bez sensu i celu. Wszystkie węzły są zerwane okrom tych, którymi skrępowany jest on sam.

Myślałem o tem wszystkiem, widząc pielgrzymki biedoty wiejskiej, przebiegające przed kilku dniami Pragę, w święto Jana Nepomucena. Czułem, że sam mógłbym iść za tym starym chłopem, kroczącym na przedzie z krzyżem w ręku, że mógłbym zmieszać się z tłumem tych bab w wysokich butach i z całym kramem na grzbiecie. W takich chwilach różnice wykształcenia, kultury, są niby ubranie bez osobliwego znaczenia. To jest prawdziwe braterstwo, nie zaś tamto, głoszone przez rewolucję, ale braterstwo krwi i serca, które ożywia jeden Chleb. Niemasz braci, okrom tych, którzy mają wspólnego Ojca. Z jednego krańca świata na drugi dwaj chrześcijanie, czyniący znak krzyża, mogą się zrozumieć w tem, co jest w nich najistotniejsze. Ale uczony nie rozumie nieuka i nie wie, co mu rzec, nie są już sobie równi, jeden od drugiego nie może otrzymać nic. I to jest przekleństwo wieży Babel.

Moja nowa książka będzie miała właśnie jako fundament to pojęcie *piękna wiary, osobistego zaufania jednego człowieka ku drugiemu, ŁASKI prawdziwej i darmo danej* — w przeciwstawieniu do pisanego prawa, do sprawiedliwości martwej i bezosobowej, którą Rewolucja przywiodła nam zpowrotem z czasów Tyberjusza i Nerona.

Proszę mi darować, że mówię tak poprostu; wszyscy wiedzą, żem fanatyk i nie mam już nic do stracenia. Wyrzucam sobie gorzko, że dopuściłem, aby ten biedny Filip umarł w mroku, choć list jego do Gide'a okazał mi, jak bardzo był bliski nawrócenia, gdybym tylko wówczas ważył się być z nim trochę bardziej niedyskretnym!

Dziękuję Panu za życzenia, których szczerość wyczuwam tak bardzo. Moje trzy ptaszęta są zdrowe i są mi radością. Żona moja załącza miłe pozdrowienia, ja zaś ściskam Panu dłoń z całego serca.

Tłum. Marja Winowska

W jednym z najbliższych numerów umieścimy polemiczny astykuł Claudela, wnoszący jednak — podobnie jak przytoczone listy — głębokie uwagi pozytywne.

WITOLD RUDZIŃSKI

NIEDOBRA KSIĄŻKA

Zofja Nałkowska, to imponująca kobieta, która mimo zajęć w Akademji Literatury znajduje czas na twórczość literacką, wciąż czyniąc wyraźne postępy. Jej ostatnia powieść, *Granica*, została odznaczona państwową nagrodą literacką. Jest to świetne, chociaż smutne świadectwo współczesnego Polaka inteligenta, przygniecionego tym osobliwym światopoglądem, który niechcący wprost się wytworzył obok nas, ścierając się o najrozmaitsze prądy współczesności. Zebranie wypowiedzi autorki pod tym względem jest bardzo wymowne.

* * *

Nałkowska, jak każdy rasowy pisarz, ustala przedewszystkiem stosunek człowieka do wartości kosmicznych:

„[Człowiek] lubi wszystko, co jest... zabezpieczone od niepokojącej melancholji odległości gwiezdnych i stosunków międzyplanetarnych. Chce zapomnieć o tej kolosalnej masie ciemności, mrozu i milczenia, w której miotają się nadaremnie niesłychanych rozmiarów bryły ognia, tracące na przesyłanie sobie swych promieni straszliwe ilości lat ziemskich — zwłaszcza, że cel tych działań jest niejasny, a pożytek wątpliwy... Nad nim, pod nim, wewnątrz i naokoło szaleje ruchoma materja, otacza go i przenika nawylot wicher chwiejby molekularnej, zaprzeczający wszelkiemu dotychczasowemu sensowi świata..." (str. 328).

Znamy to wszyscy. Te olbrzymie przestrzenie. Oswoiliśmy się z tem, czytając przepyszne poematy Jeansa, wielkiego poety-astronoma:

„Wyobraźmy sobie, że nasza ziemia to atom, który ma w średnicy jedną stumiljonową część cala. Wówczas to, co ogarnia największy teleskop, wyraziłoby się istotnemi rozmiarami całego globu, a wielkość wszechświata ... stosem z tysiąca miljonów globów ziemskich" (Jeans—*Eos* str. 30). Najmniejsza gwiazda, gwiazda Van Maarena, jest mniej więcej tak duża jak ziemia. Miljon takich gwiazd możnaby wepchnąć wewnątrz słońca i jeszczeby zostało sporo miejsca. Największa ze znanych gwiazd jest znów tak olbrzymia, że pochłonęłaby w swem wnętrzu 25 miljonów słońc" (Jeans—*Eos* str. 36. Porównaj *Niebo, Wszechświat*).

Na tle tych zawrotnych wielkości we wszechświecie, w którym ziemia jest tylko pyłkiem, na tej ziemi istnieje osobliwe stworzenie: człowiek. Dla Nałkowskiej to nie jest wcale dziwne nawet. Jest to tylko irytujące. Może gdyby człowiek miał włosy jak komety, a nogi równe odległości ziemi do słońca — może byłoby lepiej. Ale człowiek każdy jest zjawiskiem jedynem. Posiada świadomość, ma wielkie pragnienia i jest jednocześnie prochem niesłychanie nikłym.

„[Elżbieta] jest tylko sobą. Nazywa się Elżbieta Biecka, mówi o sobie: ja. Tu są one wszystkie razem [stare kobiety] z panią Posztraską, razem z ciotką Cecylją — a ona tu jedna osobna, skazana na siebie aż do końca. Jest to tylko przypadek, przerażający traf" (str. 31).

Mogłaby przecież być psem albo flamingiem. Albo jedwabnikiem. I to jest w istocie krew w żyłach mrożące. Ta świadomość jest nadobitek nieuchwytna, wymyka się z rąk, inni skreślają naszą świadomość, ale dla nas samych jaźń gubi się. To nas ogromnie niepokoi.

„Już w dzieciństwie Zenon znał ten niepokój. Dziwił się, że on jeden jest sobą pośród świata— i w tem odkryciu była groza, była jakaś nie do zniesienia samotność. Próbował odnaleźć się między ludźmi na innej drodze,... określić siebie jak każdego innego człowieka. Z wysiłkiem osiągał to widzenie. Wyobrażał sobie, że jest Zenonem Ziembiewiczem,... Że po przejściu z celującemi stopniami do klasy czwartej przyjechał na wakacje do rodziców, że w tym właśnie charakterze stoi przy sztachetach... Próbował tedy się odnaleźć i właśnie najbardziej się gubił. Wewnętrzne czucie samego siebie odpadało z przerażeniem od tego widzenia. To czucie siebie było czemś całkowicie odmiennem — i na to niema na świecie słów. I niema słów na wyrażenie udręki, która z tej odrębności wypływa" (str. 170).

Istnieje taka dziwaczna hiszpańska książka Miguela de Unamuno: *La niebla*— mgła. Jaźń to mgła, opar najdziwniejszy. Oto co o tem mówi bohater tej książki, Perez:

„Może to sen Boga? Sen, który zniknie, gdy Bóg się obudzi? Modlimy się i śpiewamy hymny prawdopodobnie poto, aby Go uśpić, aby ukołysać go do snu. Liturgja wszystkich czasów jest taką kołysanką. Śpiewamy, aby Bóg się nie obudził, aby nie przestał nas śnić".

Nie jest to kwestja nowa, ani mała. Jeżeli już zabrnęliśmy w cytaty, to nie można pominąć świetnego sformułowania tej sprawy u Dostojewskiego:

„Każda niemal rzeczywistość, chociaż posiada niezmienne prawa, jest jednak nieprawdopodobna i nie do wiary. A nawet im rzeczywistsza, tem więcej nieprawdopodobna". (*Idjota III*, str. 406, r. 1894).

Tedy dar największy człowieka — świadomość, będąca sygnałem nieśmiertelności duszy, staje się źródłem udręki człowieka. Wciąż pamiętamy, że to wszystko się dzieje w tym wspaniałym świecie, na planecie, która kiedyś była częścią słońca; wśród istot, których ciało przed miljardami lat było częścią gigantycznych pióropuszy słonecznej lawy, z której narodziły się komety, Dante, Szekspir, Bach i kilkadziesiąt miljardów ludzi; kilkadziesiąt miljardów świadomości. To wszystko smuci naszą autorkę, nie cieszy. Przytłacza. My, prawdziwi synowie słońca, niezawsze czujemy się dobrze w tych przestworzach. Przypomnijmy nawiasem, że to samo właśnie jest np. u Chestertona źródłem największych uniesień. Jesteśmy przecież współaktorami przepysznego dramatu, którego autorem jest Bóg. On jest nawet dramatu tego reżyserem i główną osobą. Za widzów i dekoracje mamy wszystkie ciała niebieskie wciąż nam przecież towarzyszy podsycający śmiech planet, a drogę wskazują rozwichrzone komety. Nałkowskiej wszakże wszystko to wydaje się zbyt dobre, aby było prawdziwe. Na tle kosmicznych wymiarów maleje nasze znaczenie. Skoro słońce jest tylko pyłkiem we wszechświecie, to niema co brać pod uwagę pragnień mikroskopijnego żyjątka. Tembardziej jeśli to są pretensje do nieśmiertelności tej nieuchwytnej jaźni.

W dodatku człowiek właściwie nigdy nie może porozumieć się z inną istotą, podobnie ukształtowaną fizycznie i posiadającą podobne pragnienia. To rodzi tysiące smutków i niedoli. I to urasta do rozmiarów naczelnego zagadnienia książki.

„Tu, na końcu piwnic jest jedno mieszkanie. Od reszty piwnic oddzielone jest przepierzeniem z desek i ma kształt trójkąta prostokątnego, którego powierzchnia równa się ściśle powierzchni, jaką zajmuje ta kanapka ze stolikiem, lampą i tą poduszką na ziemi. W tej chwili mieszkają tam cztery dorosłe osoby i jedno dziecko... I teraz niech mi pan powie, jak trzeba nazwać cały ten fenomen, jeżeli ja sobie siądę nad nimi i słucham przez radjo Strawińskiego albo zapalę lampę i czytam, powiedzmy, Pascala". (Str. 95).

Dokoła każdego człowieka rozciągnięta jest ta **g r a n i c a**, której przestąpić nie można. Wokoło nas ludzie będą cierpieć, weselić się, umierać i żyć, ale wszystko będą czynić w niesłychanem odosobnieniu. Wtedy nawet, gdy czyjeś cierpienie będzie nas żywo obchodzić, nie będziemy mieć żadnego na to wpływu.

„Jeden jedyny los psa urastał do kosmicznych rozmiarów i ogarniał sobą wszystkie zmartwienia. Wycie Totka, który uspokojony przez Michalinę spał cicho w budzie, wypełniło teraz cały świat". (Str. 53).

W ten sposób zmodulowaliśmy od problemów jaźni do kwestyj społecznych. Codzień przechodzimy koło ludzi, widzimy ich niedolę, ale nie możemy im pomóc. Nie możemy rozłamać tej granicy i dlatego stajemy się sprawcami ludzkiej niedoli.

„Cały ten dom pełen jest takich rzeczy [nieszczęścia ludzkiego]. I to wszystko ja wiem. Ja to podpisuję i u dołu przykładam do tego pieczątkę z nazwą ulicy... i numerem domu... To jest ustanowione. Od tego nie można się wyłamać... Wszelka indywidualna niezależność, to jest złudzenie. Już przez sam fakt, że żyję, godzę się nieustannie, biorę w tem udział, przykładam do tego ręki. Każdym oddechem przystaję na to wszystko" (Str. 96).

A oto inna strona tego zagadnienia. Istnieje ta potężna chęć porozumiewania się ludzi ze sobą. Jednym ze środków, mających na celu osiągnięcie porozumienia, jest małżeństwo. Rzecz przypuszczalnie najbardziej nieudana, bo chce związać węzłem porozumienia kobietę i mężczyznę. Istoty najbardziej różne od siebie. Rezultat: nowe źródło nieustannej udręki dla kobiet, bo mężczyźni z reguły zdradzają kobiety na każdym kroku i o każdej porze. Ta psychoza traktowania wszystkich osobników płci brzydkiej jako wiarołomców, istoty poprostu dyszące tylko samem pragnieniem t. zw. „wyżycia się" — jest dla autorki, kobiety przecież, bardzo znamienne. (Nie wspominajmy tu o analogicznych utyskiwaniach mężczyzn — pisarzy). Wszyscy zdrowi fizycznie i płciowo dojrzali mężczyźni w tej książce posiadają kochanki, zdradzają żony, porzucają je i t. p.

„Wystarczy młody, ładny buziak, żeby opuścić żonę, z którą żyło się dwadzieścia lat, żeby opuścić dorastające dzieci. Mężczyźni! Jakiś niższy gatunek ludzki, rodzaj zwierząt, które należy opanowywać, ujarzmiać, tresować, które trzeba umieć trzymać. Poświęca się temu całe życie... napróżno" (Str. 104).

Jakkolwiek „Granicy“ nie można nazwać powieścią pornograficzną, panuje tam jednak wysokie ciśnienie erotyczne, które jest jednem ze źródeł całej beznadziejności tej książki. Przypomina to podobną atmosferę w książkach Sygrydy Undset i jest, wydaje mi się, dla pisarek kobiet — bardzo charakterystyczne. Nie trzeba jednak zapominać, że w atmosferze beznadziejnej niemożności porozumienia się, przy poczuciu niesłychanej niepotrzebności i nicości, miłość czy jej erotyczna namiastka—jest jedyną realną przyjemnością. Ten płaski punkt widzenia wyjawiają bohaterzy powieści, zwiedzając akwarjum i obserwując najdziwniejsze gatunki stworów morskich.

„Najpoważniejsze jest podobieństwo. Dzieje się z niemi to samo, co z nami. Dzieje się przecież i to, że mają dzieci... Ale dla każdego istnieje to drugie — co w pewnym sensie jest kochankiem. Szukają się nawzajem, coś znaczą dla siebie — choćby na chwilę“ (str. 268).

To też bohaterowie i bohaterki powieści pełnemi ustami chwytają miód miłości, bo przecież:

„Żyje się krótko i źle. A przytem ten jeden raz. Czy można żądać od człowieka, by dał sobie to jedno życie zniszczyć?“ (str. 354).

* * *

Fabułą powieści jest historja dziewczyny uwiedzionej przez skądinąd porządnego człowieka. Płód prawie że dojrzały zostaje spędzony przy pomocy znachorki, być może członka Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa. Obraz zabitego dziecka stoi wciąż przed oczyma nieszczęśliwej, ostatecznie zabija ona swego kochanka, wkraczając w ten sposób w, najlepiej już układający się, los młodego człowieka jako fatum. Kwestja jest dosyc drażliwa i na czasie. Zwłaszcza, że pozostaje temat katolickiego świadomego macierzyństwa, oparty o recepty japońskich uczonych.

* * *

Specjalną troską Nałkowska otoczyła kwestje społeczne w swojej książce. Jest przecież autorka członkiem grupy „Przedmieście“ i specjalnie ją interesuje życie i rozwój proletarjatu. Chce ona, by życie cywilizowane, zdrowe, kulturalne i syte było udziałem wszystkich? Wrażenie jakie się odnosi pod tym względem z książki jest nijakie. Jest trochę psiocenia w kierunku dzisiejszych urządzeń społecznych w Polsce, jest jakiś niejasny, niewiadomo przez kogo inspirowany ruch rewolucyjny. Ta mglistość jest bardzo drażniąca i jest przyczyną, że książka cała jest wybitnie negatywna, nie walczy o nic, niczego nie pragnie. Załamuje ręce nad ciągłem upadaniem człowieka. Idzie poprostu po linji sprawozdania, bez podania powodu nieszczęścia, bo problemy „granic“ czy jaźni komplikują tylko, nie zaś wyjaśniają kwestje społeczne.

Brakuje tu wciąż zdecydowanego postawienia: co jest złe na świecie, dlaczego jest złe, czy winna temu natura człowieka, czy okoliczności, czy fatum. Jest tylko mowa, że źle jest tutaj, i tu źle; tam także źle. Jest wciąż ta niezdecydowana postawa polskiego inteligenta, który z przekąsem mówi o religijnej interpretacji życia, a czasami zasyła uprzejme pozdrowienia w kierunku „ukłonów“ pewnej generalnej linji. Mówiąc trochę trywjalnie, ale dobitnie: ni pies, ni wydra.

* * *

Każde dzieło literackie można traktować bądź jako ściśle dzieło sztuki, bądź jako wyraz pewnych tendencyj społecznych i jako tendencyj tych nowy bodziec. W obu tych wypadkach stosuje się odmienne kryterja oceniające. Nałkowska chce pracować w tym drugim rodzaju.

Męczą ją zagadnienia pierwszorzędnej wagi, zagadnienia nieraz tragiczne. Przedewszystkiem męczy Nałkowską poczucie samotności człowieka, rzuconego w olbrzymi kosmos, pozbawionego Boga, rwącego się do jakichś nieziszczalnych celów, niemogącego zrozumieć drugiej podobnej mu istoty, a nawet samego siebie. Bieda i nędza fizyczna to inna strona tego samego zagadnienia.

Wskazywanie na te rzeczy jest pracą twórczą i pozytywną. Niestety, panuje w *Granicy* tak beznadziejny nastrój, taki brak wiary w możność rozwiązania bolesnych problemów, taka niemożność wybrnięcia z sytuacji, że książka szerzy defetyzm moralny. Wskazuje, jak daleko doszedł człowiek w rozkładzie kulturalnym, w zwątpieniu i stagnacji, a zabija wiarę w lepsze jutro.

Dlatego jest to „niedobra książka“. I żadne nagrody na to nie pomogą.

JÓZEF ŚWIĘCICKI

OPORTUNIZM W PAŃSTWIE WSPÓŁCZESNEM

W jakim stopniu oportunizm jest sprawcą bezprogramowości? Ile procent winy za pustkę ideową, zalegającą wolną przestrzeń między komunizmem a narodowo-radykalnymi, spada na destrukcyjną pedagogikę Rządu? Czy i w jakim stopniu porządek społeczny premjuje i rozwija u młodych pierwiastki bezkrytycznego serwilizmu?

Takie pytania powstają same przez się, skoro tylko zważymy, że ci wszyscy młodzi, którym po wyjściu z wyższych uczelni opozycyjność nie przeszkodziła stanąć w szeregach armji pracy, dotychczas nie dali z siebie żadnego programu, nic z ideologji wybiegającej w daleką, lepszą przyszłość. Pewne jest jedno, a mianowicie to, że nieopłacana praca licznych rzesz bezpłatnych praktykantów administracyjnych, bezpłatnych aplikantów sądowych i praktykantów w szkolnictwie nie ma w sobie nic z entuzjazmu, nic z radosnej ofiary dla społeczeństwa. Pracę tę cechuje przygnębienie, wywołane przez warunki pracy. Przygnębienie łączy się z przeświadczeniem o niemożliwości pełnego zużytkowania młodych sił w sposób odpowiedni i z dość beznadziejną perspektywą na przyszłość.

Każdy z tych licznych bezpłatnych pracowników z wyższem wykształceniem zdaje sobie sprawę, że przechodzi najtrudniejszy w życiu egzamin konkursowy, że ma stosunkowo mniej niż kiedykolwiek szans na zdanie go z dobrym wynikiem, gdyż stanowisk, odpowiadających dobremu stopniowi egzaminacyjnemu, jest bardzo mało w stosunku do ilości kandydatów.

Pozatem nie jest to zwykły egzamin utrzymany w płaszczyźnie szlachetnego współzawodnictwa, a tylko ordynarna walka o byt, zaostrzona aż do absurdu wymaganiami egzaminatorów, wszechwładnych wobec nadmiaru kandydatów.

Czy w tych warunkach decydują o wyniku współzawodnictwa rzeczywiste walory intelektualne i moralne kandydatów na etaty państwowe i samorządowe—wolno wątpić.

W najlepszym razie gra tu rolę umiejętność przypodobania się władzy i bezkrytyczna powolność wobec jej zarządzeń. Często jednak decyduje wprost protekcja, intryga i pochlebstwo.

Gdzie jest miejsce w tych warunkach na rozkwit myśli niezależnej, na powstawanie w ogniu próby życiowej żywotnych programów społecznych, idei wybiegających w przyszłość? Tylko wśród tych, którzy zdecydowali się na otwartą walkę z istniejącym porządkiem rzeczy, wśród endeków i komunistów.

Rozumowaniu powyższemu można zarzucić, że nie uwzględnia ono wolnych zawodów i ludzi, posiadających własne warsztaty pracy, że tam jest miejsce na myśl niezależną, pozbawioną śladu oportunizmu, że natomiast warstwa urzędnicza zawsze w mniejszym, czy większym stopniu składa się z karjerowiczów, że wreszcie jest to zło konieczne mniejsze znacznie u nas niż gdzieindziej np. we Francji.

Wszystko to prawda, ale nie wolno zapominać, że czasy się zmieniają. Demokratyczna wolność przekonań ludzi wykształconych i niezależnych odchodzi coraz dalej, gdzieś w niepowrotną przeszłość.

Rola państwa w życiu społecznem rozrasta się, a z nią równie udział procentowy urzędników w warstwach inteligenckich.

Adwokaci i doktorzy, praktykujący zupełnie niezależnie, podobnie jak więksi producenci rolni i przemysłowi stracili dawny rezon i tupet w sprawach politycznych. Stają się warstwą procentowo coraz mniej liczną, a ponadto iluż adwokatów radcuje w bankach i przedsiębiorstwach państwowych, ilu lekarzy zatrudniają ubezpieczalnie, agronomów—samorządy terytorjalne i gospodarcze, ilu obszarników i przemysłowców dba przedewszystkiem o względy prezesów izb skarbowych. T. zw. wolne zawody nie skupiają dziś ludzi politycznie niezależnych. Urzędnik etatowy od VI-go stopnia wzwyż, o ile ma wysługę lat, zapewniającą jaką taką emeryturę, jest dziś bodaj najniezależniejszym człowiekiem w państwie, ale też najczęściej ze względu na wiek i psychikę pod względem programotwórczym i ideowym bezpłodnymi.

Psychice urzędnika, który przebrnął przez Scyllę i Charybdę awansu i stabilizacji należy się osobna rozprawa. Nie wypada jednak, aby taką rozprawę pisali urzędnicy niższych stopni służbowych.

Wystarczy powiedzieć, że tej psychice najlepiej odpowiada programowa bezprogramowość. Niestety dzisiaj już inaczej jak „programową bezprogramowością“ nie można nazywać słusznego przed 10 laty hasła odpartyjnienia życia politycznego.

Hasło to dostatecznie zwyrodniało, przekształcając się w listek figowy pustki ideowej i bezprogramowości. Dziś już ono dla nikogo nie jest atrakcyjne i nie wzmacnia autorytetu władzy państwowej, tak jak dawniej.

* * *

Państwo jest przymusową organizacją społeczeństwa, ale z tego wcale nie wynika, aby głównym i najbardziej pożądanym elementem porządku państwowego był przymus. Siła i żywotność organizacji państwowej są tem większe, im większą rolę odegrywa dobrowolne podporządkowanie się obywateli programowi politycznemu rządu, a im mniejszą rolę — przymus. Obecnie rola przymusu jest duża i ma tendencję do wzrostu. Mam na myśli oczywiście nie tylko przymus fizyczny, ale przedewszystkiem przymus ekonomiczny, który dotyka szerokie rzesze młodej inteligencji.

Przymus ekonomiczny utrudnia młodemu pokoleniu wypracowanie sugestywnych haseł, któreby mogły związać z porządkiem państwowym i pracą dla społeczeństwa ogół obywateli, a jednocześnie brak tych nowych haseł i przeżycie się starych powoduje konieczność zwiększenia przymusu.

Powstaje błędne koło. Nie czuję się na siłach wskazać odrazu drogę wyjścia z tego błędnego koła. Wydaje mi się, że uświadomienie sytuacji jest wielkim krokiem ku wyjściu. Do tego uświadomienia chcę się przyczynić. Żyjemy w czasach, w których do głosu dochodzą tak zwane państwa autorytatywne. Bodaj, że do nich należy przyszłość. Tymczasem Polska posiada formy zbliżone do form państw autorytatywnych, a nie posiada odpowiedniej treści. Tylko treść w postaci — idei politycznej, daje prawo do rządów autorytatywnych.

Po napisaniu już powyższego artykułu przeczytałem „Kompromis i oportunizm“ — pióra Józefa Poniatowskiego w *Gospodarce Narodowej* Nr. 2 z 1936 r. Autor twierdzi, że oportunizm gra dzisiaj w życiu Polski bardzo dużą rolę i wysnuwa z tego ciekawe wnioski natury gospodarczej. Artykuł jest całkowicie wart uwagi naszych Czytelników.

HALINA WĘŻYK-WIDAWSKA

ZEJDŹMY DO PODSTAW

Są sprawy tak proste, że aż naiwnem zdawałoby się o nich mówić. I zbędne się zdają wszelkie filipiki. A jednak trzeba je czasem poruszyć, aby się przekonać, że ... prawda oczywista stała się prawdą martwą i zapoznaną.

Chcę mówić o stosunku człowieka dzisiejszego „do jednej książeczki starej, która ma prawie dwa tysiące lat. Jej tytuł grecki wykłada się po polsku: „Dobra Nowina“. Książeczka pisana jest słowem podobnem do gwiazd, błyskawic, ptaków niebieskich, kwiatów polnych i do naiwnych powiedzeń cudownych dzieci. Ale jej królowanie nad nami zawiera się nie w słowach cudownych, lecz w mocy. W ciągu dziewiętnastu wieków miljony ludzi czerpało ze źródeł tej mocy wszystką duszą i sercem całem, lecz źródłom nic nie ubyło z ich wody“...

Tak literacko stawi kwestję w swej przepięknej książce Eugenjusz Małaczewski.

* * *

W jednej ze swych rozmów prywatnych miał się Ojciec św. wyrazić, że nie bolszewizm, nie Meksyk, nie to czy inne wyzwanie rzucone Kościołowi przeraża go najbardziej, ale spoganienie wiernych, ich przystosowanie się do życia, stojącego w sprzeczności z zasadami doktryny chrześcijańskiej.

Powiedzmy więcej: wykształcony poganin był bliższy chrześcijaństwa, niż przeuczony człowiek dzisiejszy, nawet zapisany do metryk Kościoła katolickiego.

Jest źle. Ale zło było zawsze. Znamy epoki wielkich załamań społecznych, wywołanych najczęściej zepsuciem moralnem. Znamy epoki, w których zło moralne jak gangrena toczyła organizm Kościoła. A jednak było to zupełnie coś innego, niż to, co widzimy dzisiaj. Epoki tamte mimo wszystko uznawały porządek zasad. Błąd wypływał tylko z błędnego wnioskowania. Dziś wywrócone zasady spowodowały chaos. Zbieramy owoc wszystkich błędów filozofji nowożytnej, która nam weszła w mózg i serce i podważyła podstawy objektywnej prawdy. Dlatego zło sięgnęło głębiej, jest dziś chorobą intelektu, który wywróciwszy porządek, odszedł od tego, co podeptał, nie umie już dziś znaleźć przyczyny otaczającego zła, szuka jej poza sobą.

Choroba intelektu. Nie miejsce tu na historję choroby, czy analizę jej przejawów, o których coraz częściej w naszej współczesnej literaturze katolickiej. — Za mało jednak myślimy, że z niej płynie jałowość naszych wysiłków, bezradność wobec piętrzących się trudności, jakich nie żałuje chwila obecna. Zapominamy, że pierwszą rzeczą powinno być rozstanie się z człowiekiem, który w nas mieszka, a który tyle wieków karmił się miazmatami protestantyzmu, racjonalizmu, sceptycyzmu i innych „izmów“. To nie znaczy, że sprawy społeczne można odłożyć na jutro. Że „porządki wewnętrzne“ usprawiedliwiłyby naszą opieszałość w rzeczach, które nie czekają, które bolą i grożą.

Tymczasem nawet wtedy, kiedy myślimy o mobilizacji sił katolickich, ulegamy znów sugestji prądów z gruntu obcych. Chcemy odrazu rzucić w życie gotowy, efektowny program, a nie mogąc przedrzeć się przez haszcze różnych sprzecznych pojęć, nie mogąc jednym zamachem nadrobić tego, cośmy zaniedbali przez wieki, gotowi jesteśmy pójść drogą najłatwiejszą: „ochrzcić“ to, co wysuwa „tamta strona“, innemi słowy przybieramy truciznę wroga w szatki katolickiej frazeologji. I jesteśmy nawet zadowoleni, nie myśląc, że zła nie da się ochrzcić, a my sami wprowadzamy w siebie jeszcze jeden czynnik, który będzie rozsadzał naszą pojęciową zwartość.

Mamy swoje własne drogi — przez przebudowę struktury pojęć. Poznanie doktryny oficjalnej kościoła dałoby nam nowe elementy myślowe i moralne, a przedewszystkiem swobodę i pewność. Spojrzenie wstecz na dzieje Kościoła — przestudjowanie encyklik zwłaszcza ostatniego półwiecza, a kto wie, możebyśmy podnieśli wyżej głowy wobec tych, co nam zarzucają obskurantyzm, sybarytyzm społeczny, wleczenie się na szarym końcu tam, gdzie chodzi o społeczne reformy.

Trudno jednak od ogółu ludzi dorosłych, ludzi zapracowanych, jak w żadnej epoce, ludzi nie mających na nic czasu, żądać studjów filozoficznych. Nie każdy katolik może sobie na to pozwolić, choć oczywista musi uzupełnić tę lukę, jaka powstała wskutek tego, że się przeważnie niczego na religji w szkole nie nauczył. Nie o to nawet w tej chwili chodzi.

Trzeba przypomnieć o tem, że świat chrześcijański zapomniał o źródle, z którego pił moc przez tyle wieków, o książeczce, która ogarnia i streszcza całą doktrynę Kościoła. Mówię o Ewangelji, książce dostępnej wszystkim, o studjum, na które może i musi wstąpić każdy, kto chce po chrześcijańsku myśleć i — przebudowywać świat.

I właśnie sprawa ta, to owa sprawa prosta, wołająca larum. Złożyły się na dzisiejszy stan rzeczy różne czynniki historyczne. Protestantyzm, komentujący po swojemu Pismo św. Orzeczenie Kościoła na Soborze Trydenckim, że tylko komentarz Kościoła jest prawdziwy. — Wszystko to łącznie z szerzącą się ignorancją religijną wytworzyło nawet wśród wiernych przeświadczenie, że Kościół zabrania prywatnego czytania Pisma św. Doprowadziło to do tego, iż słyszy się dziś Ewangelję tylko w niedzielę i to

najczęściej jednem uchem. Doszliśmy do straszliwego paradoksu, że kulturalny człowiek dzisiejszy nie przeczytał często ani razu książki, która tak silnie zaważyła na naszej kulturze, iż waga jej przerasta wszelkie inne fakty historyczne.

Cóż mówić tem bardziej o katoliku, który ma z tytułu swych wierzeń uważać ją za pierwszą zasadę życia, a zagadnięty o Ewangelję pamięta — rzecz dziwna — tylko o młodzieńcu, który nie zechciał oddać swych bogactw i o nadstawianiu bijącym drugiego policzka... „co przecież jest niemożliwe do zastosowania dziś".

A jednak może warto byłoby do tych „słów żywota" sięgnąć, wejść w ich ducha a przynajmniej nie odrywać części Pisma Św. od kontekstu. A nawet popróbować, czy ta książka „cudownych powiedzeń i przedziwnej mocy" jest rzeczywiście taka daleka od rzeczywistości. Czy nad naszym stosunkiem do niej nie ciąży cały szereg mylnych twierdzeń? Czy i tu jak w innych dziedzinach nie należałoby rozbić pewnych kompleksów pojęciowych, zacieśniających prawdę lub fałszywie ją oświetlających.

* * *

Leży przedemną wydana w zeszłym roku książka *Letousey a l'Evanglie, Règle de Vie*, nagrodzona przez Akademję francuską (Desclée de Brouver et Cic Paris). Widnieje na kartce tytułowej motto — uwaga: Duch chrześcijański ukształcony przez studjum Pisma Św. — To dla nas.

Książka daje nam teksty Ewangelji ułożone w sposób metodyczny. Część I— p. t. „Chrystus Syn Boży" to życie Jezusa w porządku chronologicznym a właściwie dowody bóstwa Chrystusa. Część II — poświęcona jest nauce Nazarejczyka — „Prawo chrześcijańskie" — mające obowiązywać po wiek wieków.

Tekstom ewangelicznym towarzyszą krótkie kilkulinijowe uwagi autora. Uwagi proste, niezwykle subtelne, pełne umiłowania dla świętej doktryny, i pełne wiary w jej „życiowość" zawsze, a więc i dziś. Książka piękna i nareszcie mówiąca tak, jak się długo czekało.

EX LIBRIS

CHÓR WIEKÓW ANTOLOGJA POETYCKA w układzie: W. Miłaszewskiej, J. Rembielińskiego i St. Miłaszewskiego. Z przedmową J. E. Ks. Arcybiskupa Józefa Teodorowicza. Nakładem Księgarni Św. Wojciecha. 1936.

Oddawna dawał się odczuć brak antologji polskiej poezji religijnej, którąby mogła ukazać różnobarwność i bogactwo produkcji artystycznej, na motywach religijnych opartej i z ducha wiary wysnutej. To też inicjatywa autorów nowej antologji zasługuje na całkowite uznanie. Niestety, nie można się podpisać pod wykonaniem.

Przedewszystkiem charakter książki nie jest bardzo jednolity i wyrazisty. Autorzy nazwali ją tylko „antologją poetycką" dla pozostawienia sobie możliwie najszerszego zakresu. W niezmiernie charakterystycznem „Objaśnieniu", które zamyka książkę, tłumaczą to następująco: „...Ponieważ... w narodach o kulturze katolickiej Kościół towarzyszy całej działalności człowieka ...zatem, [illegible]ąc tę rozległość poezji, odbijającej pełnię życia chrześcijańskiego, uwydatnić, antologja oprócz [illegible] wzruszeń i [illegible]lań zawarła także opisy obrzędów i [illegible] llady, pieśni, podanie i t. d." Antologja ma [illegible] na celu wykazać, że nawskroś katolicka kultura narodu polskiego znajdywała poprzez cały ciąg dziejów wyraz w poezji. To aprioryczne założenie zaciążyło bardzo nad charakterem całości. Stąd takie mnóstwo utworów całkiem świeckich, gdzie niejednokrotnie poprostu użycie wyrazu „Bóg" upoważniało — zdaje się — do włączenia ich do antologji. Stąd wreszcie obecność obszernego dzieła p. t. „Aniołowie i żołnierze", humorystyczny efekt zestawienia zawiera się tu nietylko w tytule... Z równem powodzeniem możnaby w antologję włączyć całe „Śpiewy historyczne" Niemcewicza, „Pieśnioksiąg" i t. p. Ów dział niewątpliwie musi razić każdego czytelnika.

Koncepcja kompozycyjna (podział w/g części roku liturgicznego) mogłaby stworzyć całość oryginalną, gdyby odpowiadała rzeczywiście zawartości książki. Wobec jednak tak daleko idącego liberalizmu, jaki cechuje autorów w wyborze utworów, oczywiście ramy kompozycyjne okazały się za wąskie. W obrębie poszczególnych działów brak wyraźnej spójni wewnętrznej.

Wreszcie należałoby zakwestjonować wybór tekstów ze względu na ich niski nieraz poziom artystyczny. I tak np. z Kochanowskiego wybrano najsłabsze psalmy (pominąwszy kilka b. popularnych), podobnie z Szarzyńskim, uwzględnionym w niedostatecznej mierze. Autorzy nie podjęli żadnej pracy odkrywczej, nie zapoznali się np. bliżej z poezją barokową. Dość licznie — na szczęście — reprezentowany jest Norwid; pozatem wiele miejsca zajęli Kasprowicz, Wyspiański (zbyt liberalnie potraktowany), Zawistowska. Uważam też, że nie wykorzystali autorzy poezji współczesnej (Słończyńska, Liebert, którego jedyny wiersz zacytowano z „Verbum"). Z żyjących poetów najwięcej miejsca (aż 6 wierszy) otrzymał St. Miłaszewski, współautor antologji. Komentarze chyba zbyteczne.

Żałować należy, że tak piękny pomysł antologji polskiej liryki religijnej został spaczony, zapewne tylko przez niedbalstwo. *Irena Sławińska.*

*

Ks. Zdzisław Soliński, *CNOTA CZYSTOŚCI WEDŁUG ŚW. TOMASZA Z AKWINU, Z UWZGLĘDNIENIEM WSPÓŁCZESNEJ PEDAGOGIKI PŁCIOWEJ* (Lublin, Uniwersytet Katolicki, 1935, str. 178).

Praca staranna, na podstawie obfitej literatury, doprowadzonej do ostatnich lat. Wnioski do których dochodzi Autor są następujące:

1. „Uporządkowanie życia płci jest dla ludzkości tak doniosłe i konieczne, iż nie mogło czekać na stopniowy rozwój zasad swej etyki, lecz już zaistniało łącznie z określonym kodeksem własnej moralności, Św. Tomasz głosi chrześcijańską moralność płci, uzasadnioną dobrze względami religijnemi, fizjologicznemi i społecznemi (w swej stronie filozoficznej etyka płciowa Św. Tomasza opiera się na kardynalnej zasadzie, że *przyjemności nie są celem działań*, lecz elementem, gwarantującym podjęcie ważnych czynności życiowych)".

„Wobec popędu płciowego zajął Św. Tomasz piękną postawę myślową. Świadom niebezpieczeństw, jakie on niesie przeciętnym jednostkom, dalekim pozostał Doktor Anielski od generalnego potępienia życia płci i upatrywania w niem złowrogiego demona. Owszem cenił wielce boży dar płci, wciągnął go w orbitę Odkupienia Chrystusowego i zakreślił mu piękne horyzonty kultury moralno-społecznej w formie nadprzyrodzonej cnoty czystości, chrześcijańskiego małżeństwa, celibatu czy dziecińatwa. Płeć służy nawet Bogu zaofiarowana Mu w celibacie, dziewictwie czy małżeństwie, jeżeli ono rodzi dzieci z poczuciem, że mnoży indywidua ludzkie, przeznaczone do uczestnictwa w nadprzyrodzonem współżyciu z Bogiem".

2. „Współczesna chrześcijańska etyka i pedagogika płciowa (Pius XI, Vermeersch, Schröteler, Merkelbach, członkowie katolickiego Deutsches Institut für wissenschaftliche Pâdagogik z Münster i W., Escande, Goy, Bureau, Surbled, Foerster, Podoleński i inni) zgodni są iedeowo ze Św. Tomaszem, uzupełniają go tylko trafnym dorobkiem współczesnym".

3. „Współcześni umiarkowani etycy i wychowawcy (Green, Saxby, Zieńkowski, Hessen, Baley, Dryjski i inni), jeżeli rozpatrywać ich poglądy na płaszczyźnie naturalistycznej, zasadniczo są zgodni ze Św. Tomaszem, rozwiązują jednak problemy na płaszczyźnie areligijnej i naturalistycznej. Rozwiązania ich, pełne bliskiego kontaktu z życiem, obfitują w indywidualizujące szczegóły psychofizjologji, ale brak im scalającego wpływu idei Boga i ostatecznego celu pośmiertnego. Ideałami ich są: harmonijny wszechstronny rozwój człowieka i dobro społeczne". — „Wielce psychologicznym tworem św. Tomasza jest sama cnota czystości, która przekształca i uszlachetnia od wewnątrz instynkt rozrodczy".

Naostatek można dodać, iż Autor, po określeniu cnoty czystości i wykazaniu jej znaczenia w życiu ludzkiem, w III części zebrał wskazówki dotyczące wychowania tej cnoty. Uwzględnił przytem środki higjeniczne, psychologiczne i religijne. Praca nosi charakter gruntownej rozprawy naukowej, lecz dzięki aktualnemu i dobrze ujętemu tematowi jest cennym dorobkiem dla ogółu rodziców i wychowawców. *Ks. Józef Zawadzki.*

*

J. W. Przysławska, *PRZYJAŹŃ W ETYCE ARYSTOTELESA*, Lublin, 1935, str. 58.

Główne myśli: „Spośród starożytnych myślicieli nikt tak szeroko i tak gruntownie nie ujął teorji przyjaźni jak Arystoteles. Nadaje ona ciepły i serdeczny ton całej jego etyce, aczkolwiek rozsądek i rozum wciąż odgrywują swoją dominującą rolę. Teorja ta jest przeniknięta głębokim duchem całej filozofji Stagiryty i pełna bardzo ciekawych, nawet i dziś spostrzeżeń psychologicznych".

„Dopiero w przyjaźni, w tym bliskim stosunku człowieka do człowieka, realizują się najlepiej w życiu naszego myśliciela jego teorje filozoficzne; tu też najłatwiej uchwycić można tę tak ważną w starożytności, a dziś niejednokrotnie nie uwzględnianą zasadę, że życie teoretyczne musi iść w parze z życiem praktycznem — ideały, założone w myśli muszą dążyć do konkretyzowania się w życiu". To też Autorka wykład poglądu Arystotelesa na przjaźń łączy z jego sylwetką.

W zetknięciu się z książką nasuwa się pytanie: Jak daleko stoi Arystoteles od Ewangelji Chrystusowej? Bez odpowiedzi na to pytanie, książka nie zyskuje pełni aktualności. Etyce Arystotelesa, jak wogóle wszystkim etykom przedchrześcijańskim, brak znajomości wyraźnego celu człowieka, brak znajomości Boga.

„Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża...
„Tyś wiecznie na ziemi..."

Nawiasem można dodać, że zaczerpnięcie światła z Objawienia, nie jest wykroczeniem przeciwko zasadom filozofji. Filozofja zetknąwszy się z Objawieniem, nie przestaje być czysto rozumowem poznaniem rzeczy przez ich przyczyny ostateczne, otrzymuje podniety ze strony Objawienia Bożego do postawienia nowych zarządzeń, do innego określenia dawnych i do ich rozwiązywania drogą rozumową. Taki wpływ jest możliwy i zrozumiały pod warunkiem, że spekulacji filozoficznej nie zamknie się w jakimś zgóry oznaczonem kole i uznawszy jej granice nie wykluczy się zgóry możliwości danych innych, niż przyrodzone.

Wracając do pracy p. Przysławskiej należy zaznaczyć, że podkreślenie pierwiastka racjonalnego w etyce, jest czemś bardzo wartościowem, co nas zbliża do chrześcijańskiej miłości, która według mocnego powiedzenia Św. Tomasza musi być „dobrze uporządkowana". *Ks. Józef Zawadzki.*

KORESPONDENCJA

Niezgrabni reformatorzy...

Wilno ma szczęście do rozmaitego rodzaju „reformatorów" naszego życia kulturalnego. Ostatniemi czasy p. Maśliński wystąpił w *Kurjerze Wileńskim* w roli Cata *Alma Mater* i pomocnika J. M. Rektora U. S. B. w dziale zlikwidowania tego „bezużytecznego" pisma. Wygląda w niej wręcz śmiesznie.

Alma Mater ma już ustaloną tradycję pisma naukowo-artystycznego. Jego walor istotny polega właśnie na połączeniu elementów formy artystycznej z charakterem naukowym.

Młodzież akademicka może na łamach pisma wykazać swe zdolności do pracy badawczej, literackiej, a przedewszystkiem artystycznej.

P. Maśliński w szczerości swej jest rozbrajający. Wzdraga się przed umieszczeniem cennych płodów swego ducha w *Alma Mater*, a nie waha się ich drukować na łamach redagowanej przez siebie *Kolumny Literackiej* (dodatku do *Kurjera Wileńskiego*). Pierwszy rodzaj pisma może być i jest prawdziwą ozdobą każdej bibljoteki, a w przyszłości będzie poszukiwany przez badaczy. Kto wie może ten najgorszy wiersz, który zamieścił p. Maśliński na łamach *Alma Mater* wydobędzie go kiedyś z mroków zapomnienia. Sądzę, że to jest bardzo prawdopodobne. Drugi typ, jako część składowa codziennej gazety służy tylko doraźnym nieraz o bardzo prymitywnej treści celom. Zaznaczam to na marginesie swego listu i nie mam pretensji do zmiany gustu p. Maślińskiego.

Jak się przedstawia kwestja popytu na *Alma Mater*? Trzeba nie zapominać, że jest to pismo bądź co bądź o charakterze naukowym. A wiem dobrze, że publikacje tego rodzaju nie znajdują chętnych nabywców — dowodem wydawnictwa naszych towarzystw i instytucyj naukowych. Z *Alma Mater* ma się sprawa cokolwiek inaczej. Oto czterech pierwszych numerów brak już w handlu zupełnie. Ostatni numer dzięki swej niskiej cenie chętnie jest nabywany, komplety od 5—11 dzięki znacznej zniżce, jaką wprowadziła administracja, również się rozchodzą.

Jak jest ze zbiorami poezji naszych poetów, nie wiem, ale stanowczo ośmielam się twierdzić, że urzędowy organ Związku Zawodowego Literatów w Wilnie „Środy literackie" daremnie „zdobi" półki księgarskie.

W innem przeto świetle wygląda „oczywistość" wywodów Maślińskiego. Jest ona obawiam się z tej kategorji argumentów, które Marszałek Piłsudski nazwał „zimnemi podmuchami poziomego głupiego rozumu". *Witold Nowodworski.*

POD LUPĄ

W Polsce istnieje w bardzo szerokich warstwach pewna niechęć do polityki. „Ach, nie znoszę polityki!" — powiadają młode naiwne panuszki, które nie liznęły jej wcale, i stare matrony, które płaciły często za „politykę" więzieniem czy aresztami. „To polityk" — mówią o kimś z przekąsem starsi panowie, podczas gdy młodsi określają tę samą treść bardziej dobitnie. Nie, polityka nie jest dziś u nas naprawdę popularna. Mimo pozorów.

Gdzież jest owa Polityka, jedna ze sztuk pięknych a mądrych. Dziś słowo polityka znaczy popularnie co innego: żarcie się.

Tęsknimy, o jakże tęsknimy — zwłaszcza młodzi — do prawdziwej Polityki. Tej właśnie sztuki pięknej a mądrej.

Tęsknimy. Ale czy ją uprawiamy? *jc.*

Duskusja o „ocenach z religji" wywołała bardzo duże zainteresowanie, które się przejawiło w listach do redakcji, odgłosach prasy i nadesłanych artykułach. Świadczy to, że sprawa jest ważna i pilna. W tej chwili mamy w tece parę artykułów, które będziemy drukowali w numerze następnym, i parę artykułów zapowiedzianych. Prosimy więc tylko o artykuły, dorzucające w dyskusji nowe momenty, gdyż tych, które nie wnoszą nic zasadniczo nowego, nie będziemy mogli drukować.

REDAKCJA

REDAKTOR NACZELNY: ANTONI GOŁUBIEW. — REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: WITOLD RUDZIŃSKI. — WYDAWCA: WACŁAW TARASIEWICZ. — ADMINISTRATOR: MARJAN PRUBA

PRENUMERATA Z PRZESYŁKĄ W POLSCE: rocznie 4.80 zł., półrocznie 2.50 zł., kwartalnie 1.40 zł.; ZAGRANICĄ: rocznie 7.40., półrocznie 3.90 zł., kwartalnie 2.40 zł.; w Ameryce i Chinach: rocznie 2.50 dol., półrocz. 2.— dol., kwart. 1.20 dol. — OGŁOSZENIA: [illegible] str. 500 zł., 1/2 str. 280 zł., 1/4 str. 150 zł., 1/8 str. 80 zł. Wiersz garmontowy 1 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, ul. Zamkowa 14—1. — Konto P. K. O. Nr. 144.229
Redakcja czynna w poniedziałki i środy od godz. 1-szej do 2-giej. Administracja czynna codziennie oprócz świąt od godz. 12-ej do 2-giej

Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie, Metropolitalna 1, telef. 14-49